35 GR

ŚWIAT SZKOLNY

Z. M.

MIESIĘCZNIK

WYDANY STARANIEM SAMOPOMOCY SZKÓŁ ŚREDNICH
W CZĘSTOCHOWIE.

ROK VII. Luty 1933 Rok Nr. 2(43)



CO CZYTAĆ!



Czarkowski -Galejewski K. por. S. P. AEU. 13 dni lotu nad Azją. Warszawa. Główna Księgarnia Wojskowa 1932. Cena zł. 12.

Niezmiernie ciekawy opis wrażeń podróży odbytej przez lotnika amatora (z zawodu jest Czarkowski - Golejewski oficerem kawalerji) w kraje egzotycznego Wschodu.

Nasze lotnictwo sportowe znajduje się dopiero w zalążku, a polski samolot sportowy na dalekich szlakach egzotycznych jest rzadkością. Tem większe uznanie należy się pilotowi, który odbył drogę z Rzymu przez Grecję, Syrję, Persję, Indje, dotarł do Sjamu gdzie nastąpiła katastrofa, z której wyszedł ciężko ranny. Celem ostatecznym podróży miała być Japonja. Bystre oko obserwatora, styl gładki i ogromna zdolność narracyjna sprawiają, że S. P. AEU. czyni na każdym czytelniku niezatarte wrażenie.

Książka została ujęta w b. piękną istaranną szatę graficzną oraz oryginalnie ułożone ilustracje. **J. M.**

Auten H. Tłum. Stankiewicz M. Statki pułapki. Warszawa. Główna Księgarnia Wojskowa 1932. Cena zł. 5.80.

Ciężkie straty zadawane Anglji przez działalność niemieckich łodzi podwodnych, które zatapiały barbarzyńsko wszelkie statki handlowe i pasażerskie, wywołały nowy sposób zwalczania ich zapomocą specjalnych statków zw. statkami pułapkami. Były to okręty handlowe z zamaskowanem uzbrojeniem, które w ten sposób zwabiały przeciwnika i niszczyły go znienacka ogniem artylerji.

Walki te i bogate przeżycia biorących w nich udział odtwarza w tej pracy autor, ich uczestnik w pracy odznaczającej się bezpośredniością opisywanych wydarzeń.

Jest to jeden z najciekawszych pamiętników wielkiej wojny. **J. M.**

Zienkiewicz Kazimierz. Wspomnienia powstańca. Do druku przygotował i wstępem opatrzył Pomarański S. kpt. Warszawa 1932. Wojsk. Inst. Nauk. Wydawn. Cena zł. 8.80.

Ukazała się nowa praca szczególnie teraz aktualna i o dużej wartości naukowej z dziedziny historji powstania styczniowego. Są to bogate w treść „Wspomnienia powstańca" K. Zienkiewicza, odznaczają się one talentem narracyjnym, żywością obrazów i staranną formą, pracą zyskuje niezmiernie na tem, że autor posiadą dar spostrzegawczości i swobodnego opowiadania okraszonego humorem obozowym. Wypadki opisane rozgrywają się przeważnie w ziemi kieleckiej, i należą do działalności Z. Chmielińskiego, jednego z najlepszych wodzów powstania, o którym autor wyraża się z najwyższem uznaniem i uwielbieniem. **J. M.**

W związku z przypadającemi w m-cu marcu imieninami Pierwszego Żołnierza Polski—Marszałka Józefa Piłsudskiego — oczekujemy prac od Koleżanek i Kolegów, któreby wyraziły hołd młodzieży grodu częstochowskiego dla Zwycięscy nad nawałą bolszewicką.

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK

wydawany staraniem Samopomocy Szkół Średnich w Częstochowie.

ROK VII. CZĘSTOCHOWA, LUTY 1933 R. Nr. 2 (43).

Ideologja powstania 1863 roku.

Naród nie może rozwijać się bez wielkich idei przewodnich...

Na horyzontach swojego istnienia musi on mieć jasno płonące światło, ku którym zdąża w najchmurniejszą nawet noc dziejową, z wiarą, że cel osiągnie, z nadzieją, że jest tego celu coraz bliższy.

Takiem światłem w okresie naszej niewoli była idea niepodległości. Przyświecała ona pokoleniom i pokolenia walczyły o jej urzeczywistnienie. Gdybyśmy nie mieli tej idei, gdyby w Polsce kiedykolwiek nastąpiło naprawdę pogodzenie się z losem, bylibyśmy już oddawna wykreśleni z listy narodów żywych, tak jak byliśmy przez sto lat z górą wykreśleni z listy państw europejskich.

Dwie wielkie idee były jako podstawa walki o niepodległość.

1-o. Świadomość narodowa potrzeby odbudowy utraconego państwa, która od chwili pierwszego rozbioru nigdy nie opuszczała ludzi, patrzących w przyszłość, jako też:

2-o. Idea społeczna, jako czynnik walki i przebudowy odebranego państwa.

Katastrofa pierwszego rozbioru Polski była chwilą ocknienia się samowiedzy narodowej i stała się punktem wyjścia dla wszystkich następnych walk o wolność. Rozpoczynało ją każde pokolenie, począwszy od tego, które utraciło Polskę. Wojny w roku 1794 i 1831 były próbą wydobycia się na wolność za pomocą regularnej siły militarnej. Obie próby zawiodły.

Dysproporcja sił walczących była zbyt wielka i mało rokowała nadziei zwycięstwa o własnej mocy, a wszelkie usiłowania wywołania interwencji obcej i postawienia sprawy polskiej na gruncie międzynarodowej polityki europejskiej okazały się zawodne. Interes zaborczy trzech najpotężniejszych niszczycieli Polski nie dał się przełamać.

Po ostatecznem rozbiciu armji polskiej w roku 1831, znaczna jej część wodzów, żołnierzy i polityków schroniła się do Francji. Znalazło się tu wszystko, co Polska posiadała największego, najrozumniejszego, najszlachetniejszego w dziedzinie ducha.

Po klęsce roku 1831 śród emigracji, skupionej we Francji, rozpoczęły się gorące spory na temat — kto winien i zastanawia się nad tem, w jaki sposób na przyszłość zorganizować walkę o niepodległość państwa, ażeby jej zabezpieczyć najbardziej możliwą szansę zwycięstwa. Armji regularnej już nie było. Kadry jej zmniejszały się co roku i marniały w służbie obcych państw. Samo przez się nasuwało się pytanie: skąd wydobyć siły potrzebne do walki, jak je zorganizować i czem zachęcić? Dotychczas walczył żołnierz przymusowo wzięty do wojska i szlachcic — wogóle inteligencja, — która rozumiała czem jest państwo dla narodu, pojmowanego nie jako klasa lub warstwa, lecz jako całość wszystkich składających go czynników społecznych równoprawnych i równorzędnych. Po za kołem inteligencji, wogóle ludzi, rozumiejących znacze-

nie państwa w dziejąch ludzkości i narodu, było mało; oparcie się o nich nie mogło gwarantować zwycięstwa, armji nie było i utworzenie jej było niemożliwe, nasuwała się zatem sama przez się myśl, że obrońców Ojczyzny trzeba szukać w masie ludowej i na niej oprzeć przyszłe zwycięstwo.

Nabierała znaczenia przeto, jako czynnik odbudowy państwa, warstwa społeczna, jednostronnie oceniana i jednostronnie traktowana jako nowa siła w odbudowie państwa. Upatrywano w niej słusznie siłę twórczą prastarego zalążka państwowego, ale nie brano w rachubę ewolucji dziejowej, jakiej podlegając, siła ta zatraciła wszelką twórczą potęgę i pojęcie Ojczyzny doprowadziła do równości z pojęciem ojcowizny.

Ażeby ją zużytkować, należało jej przywrócić twórczą moc, rozum państwowy, który zatraciła. Zdawało się, że stać się to może przez równouprawnienie i uwłaszczenie, czyli zrównanie wobec prawa i nadanie na własność ziemi uprawianej przez nią.

Na tem tle snuły się marzenia emigracji w roku 1831. Opierały się one o tradycję owych 400-tu chłopów, których przyprowadzono w dniu bitwy na pola racławickie, gdzie, niewyćwiczeni, z kosami tylko w ręku przyczynili się do odniesienia zwycięstwa. Armja ze 400-tu tysięcy takich chłopów, zbrojnych tylko w kosy, mogłaby cudów dokonać. Mogłaby, ale nie można było jej stworzyć, bo chłop, jak wszędzie, znał nie Ojczyznę, lecz — ojcowiznę tylko.

Na możliwość zużytkowania w przyszłej wojnie o wolność kosynierów wytworzyła się cała teorja.

Członkom centralizacji zdawało się, że już w roku 1831 lud byłby powstał jak jeden mąż, uzbroił silną dłon w żelazo, pogromił bez obcej pomocy najeźdników, a Polska od Odry i Karpat aż poza Dniepr i Dźwinę, od Bałtyckiego do Czarnego morza byłaby na szczęściu powszechnem byt swój ustaliła.

Ażeby dopiąć tego celu, należałoby tylko ludowi dać „obietnicę i nadzieje", a Polska byłaby wolną. „Wszystko dla ludu przez lud" — stało się hasłem zbawienia Polski.

Takim przedstawiał się lud w pojęciu idealistów, szukających nowej siły dla odzyskania Ojczyzny, lud miał się stać budowniczym i odnowicielem Polski — tylko trzeba było tę masę poruszyć. Ludzie, spokojniej patrzący w przyszłość narodową, upatrywali odrodzenie nie w przywilejach ludu, lecz we wspólnej pracy z ludem.

Tak więc idea społeczna powołania do walki w roku 1863 ludu, jako nowej siły odradzającej, opanowała wszystkie młode umysły.

Siła ta jednak, z bardzo małym wyjątkiem, okazała się złudzeniem. Nie było mocy, którąby ją w imię wielkiej idei wyzwolenia Ojczyzny dźwignąć mogła i poruszyć. Do walki o wolność stanęli ci, których dziadowie utracili wolność, ale „ludu" w ich szeregach było bardzo mało. Nierówna walka znowu zakończyła się klęską inteligencji, lud wyszedł bez szwanku.

Tak więc ta idea społeczna, która miała stać się nową siłą budowniczą w odbudowie Ojczyzny, okazała się albo bierną, albo wrogą wobec haseł, które niosły darowiznę ziemi, wolność i wyzwolenie. Brakło jej ducha poświęcenia się, ofiary i miłości Ojczyzny.

Dzięki wojnie odzyskaliśmy państwo. Lud stanął do wspólnej pracy nad odbudową, mało przysposobiony do wielkiego dzieła, jakie szczęśliwy, a niezbyt zasłużony los w ręce mu oddał.

Zdzisław Ataniel, Gimn. Związkowe



W POGONI ZA SŁOŃCEM.



Za chwilę odchodzi pociąg Warszawa—Wiedeń—Susak. Garstka publiczności na peronie, zziębnięta, zsiniała z zimna, tuli się do letnich płaszczy. A przecież dawno już rozpoczęło się lato kalendarzowe; rzeczywistość jednak przeczy z dziką ironją ustalonemu porządkowi:

ostry wiatr przenika do szpiku kości, drobny deszcz za każdym jego podmuchem niemiłosiernie smaga po twarzy.

W takich warunkach podróż na południe wydaje się odjazdem w krainę marzeń, pogonią za słońcem, które u nas jest równie rzadkim gościem i nieuchwytnym jak szczęście. A za wielką szybą wagonu, w ciepłem wnętrzu przedziału, rozpoczyna się, to jakgdyby nierealne życie. Krótki gwizd lokomotywy, ostatni uścisk dłoni, ostatnie pocałunki, donośny i przeciągły głos konduktora — ruszamy.

Pierwszą rzeczą, i to rzeczą zasadniczej wagi jest zdobyć miejsce w kąciku, skąd dobrze można obserwować krajobraz, swych współtowarzyszy, a co najważniejsze można się wygodnie zdrzemnąć. Wzrok mój ślizga się po obcych twarzach: na pierwszym planie siedzi dwóch semitów z grubemi żonami. Obok mnie zajmuje miejsce młode, przytulone do siebie, małżeństwo (naturalnie jadą w podróż poślubną). Do tego trzeba dodać spory bagaż, wszelkiego rodzaju walizeczek, walizek. Daje to pewność, że z mojemi współtowarzyszami nie rostanę się prędzej jak w Wiedniu lub Susaku.

Pociąg po długim, Bóg wie poco, postoju w Zebrzydowicach, mija granicę polsko-czeską. Celnicy czescy sumiennie dopytują się o tytuń, wzbudzają podejrzenie u nich wielkie walizy, wypchane nieznaną zawartością. Szybko przebywamy skrawek Czech, w bladej poświacie nocnej mijamy dalekie góry, puste stacyjki, wsie, miasteczka, by nad ranem wpaść na austriackie terytorjum. Krajobraz zmienił się jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej: miejsce posępnej równiny czeskiej zajęły wioski, cudownie się rysujące na tle zieleni. Strzeliste wieżyce kościołów, schludne murowane domki, otoczone ogródkami pełnemi kwiecia, liczne stawy, okolone zielenią krzewów i gromadki wieśniaków w narodowych strojach — wyrywały mimowoli z piersi westchnienie — „jak tu ładnie, a dlaczego u nas...? Na każdej stacyjce wlewa się do przedziałów tłumik głośny, wesoły, zapoznający się łatwo z towarzyszami podróży i podziwiający, że ktoś jedzie już dobę. W ciągu paru godzin można się dowiedzieć od nich wszystkiego o stosunkach politycznych, ekonomicznych, o Wiedniu — i wiele jeszcze ciekawych rzeczy. Wymowa ich brzmi bardzo mile i jakże się różni od bełkotu Niemca. Jak słodko brzmią słowa konduktora: „Fahrkarten bitte, di kommen aus Poland"? Kochany jest ten ludek, po dziecinnemu zadowolony, przyjmujący wszystko na wesoło — słowem, umiejący żyć. To też, gdy poranne słońce ozłociło wieżyce św. Stefana, i przejrzało się w tafli cudnego Dunaju, trudno się było oprzeć pokusie, by choć przelotnie nie zajrzeć na stary Prater, posłuchać cudnych wiedeńskich walców... Pokusa była zbyt silna — uległem...

Ale już w trzy dni naprawiłem swój błąd.

Czyste i wygodne Pulmany pociągu pośpiesznego, opatrzone znakiem P. K. P. z kroczącą na ich czele lokomotywą polskiej fabrykacji zajechały przed wiedeński Südbanhoff. Jeszcze pociąg nie zdążył przystanać, a już mrowie ludzkie rzuciło się ku wagonom. Przedział, w którym z trudem się ulokowałem przedstawiał „piekiełko międzynarodowe". Po chwilowym postoju pociąg ruszył Na ekranie wagonowej szyby przesuwają się ciekawe widoki. Po jakimś czasie doczepiają do pociągu zapasową lokomotywę — jest to nieomylny znak, że wjeżdzamy w góry. Pociąg z coraz większą trudnością wije się wśród gór, krąży, omija, a gdy nie może inaczej rzuca się z determinacją w gardziel długich tunelów, przelatuje z jednego w drugi, z jasności dnia pogrąża się odrazu w nieprzeniknioną ciemność, napełniając na moment niezmąconą ciszą wnętrze góry rytmicznym stukotem kół i własnym zdyszanym oddechem.

Semmering przesuwa się jak piękny sen. Dna dolin nie można dojrzeć z okien wagonu, strome zbocza, porosłe pięknym, iglastym lasem, uciekają w pośpiechu. Pociąg, jak ciemny wąż, wspina się coraz wyżej, przelatuje coraz głębsze przepaście, by wreszcie, przedostawszy się na drugą stronę gór, stoczyć się znowu w niziny. Ze spadkiem terenu szła urodzajność ziemi spłynęła z nagich skał w błogosławioną dolinę, o najcudniejszym klimacie, wypełnioną gajami cytryn, winnicami, gajami oliwnemi. Na każdej stacji człowiek, szczególnie jadący z Polski, dosłownie „obżera się" nieporównanemi owocami południa. Wystarczy wspomnieć, że kilo winogron nie kosztuje więcej od 80 groszy, kilo brzoskwiń od złotówki, ale nie będę Tobie, czytelniku, rozbudzał apetytu i ranił serca temi cyframi...

Nocą pociąg pędzi z zawrotną szybkością, podrzuca na posłaniu, kołysze. W niespokojnym śnie przelatujemy nieznane przestrzenie, by obudzić się już na innem terytorjum. Słońce zagląda coraz śmielej w okna wagonu, wciskając się do przedziału przez firanki z literami P.K.P.

Świat przez noc się odmienił: dokoła zielone łąki, łany pól kukurydzy, tytoniu, zrzadka rozsiane wioski, ale już nie tak ładne, jak te któreśmy widzieli w Austrji. Od czasu do czasu zatrzymujemy się w ubogich miasteczkach, o wąskich krętych uliczkach, parterowych ruderach o płaskich dachach. Nierzadkiem zjawiskiem są domki, złączone na wysokości pierwszego piętra łukiem mostku, a wysoko przy drugiem i trzeciem piętrze sznurem, z festonami suszącej się bielizny. Ruiny starych kapliczek, resztki obronnych murów pamiętają, zdaje się, te czasy, gdy Polska przyjmowała chrzest. Jednak są również i miasta bardziej nowoczesne, nie większe i elegantsze, w każdym bądź razie, od naszej kochanej Częstochowy. Do jednego z takich miast dojeżdżamy właśnie. Zachrypnięta lokomotywa wrzasła ochryple parę razy, minęłśmy parę przejazdów i czarny łańcuch wagonów z turkotem wtoczył się na dworzec. Z przydługiej paplaniny jakiegoś Węgra czy Czecha zrozumiałem, że jestem w Zagrzebiu. Po-

został mi do odbycia ostatni etap podróży. W Zagrzebiu, który jest jakby punktem rozdzielczym dla licznych wycieczek, rozstałem się z wygodnemi Pulmanami, dalej wiezie nas pociąg miejscowy, trzęsący, hałaśliwy. Opinii jego nie mogą uratować wciśnięte w środek międzynarodowe wagony sypialne.

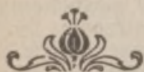
Na poł. - zachodzie rysują się góry, które naprzemian to oddalają się, to zbliżają, ciemne, ogromne, są nagie, a z poza zasłony rannych mgieł i oparów wyglądają posępnie. Na całym odcinku kraj skalisty i mało zaludniony, większych osiedli nie widzać. W dole małe pólka i rzadkie, pojedyncze domki lub szałasy, przytulone do zboczy górskich. Od czasu do czasu pociąg ginie na kilka minut w ciemnych tunelach, by potem mknąć nad urwistym brzegiem przepaści.

Od czasu do czasu przemknie, niby korona, osadzona na szczycie góry, nieprawdopodobne miasteczko lub ponury zamek, dawna siedziba możnych panów feodalnych, do którego chyba tylko kozica może dotrzeć. Każda piędź tej dzikiej ziemi, to część historji tego kraju, od starożytnych czasów, pełna krwawych i burzliwych dramatów.

Wreszcie pociąg przystaje na malutkiej stacyjce — Plase-Czikwenica.

Mamy do wyboru dwie drogi: jechać dalej do Susaku, a stamtąd statkiem do miejsca przeznaczenia, lub wysiąść tu i kontynuować dalszą podróż autobusem, która, jak mówiono mi, dostarcza niezapomnianych i oszałamiających wrażeń. W takich wypadkach zwykle chęć doznania przygód bierze górę nad zdrowym rozsądkiem. Wybieramy jeden z większych i na pierwszy rzut oka silniejszych autobusów i po paru minutach pędzimy po zawrotnych serpentynach. Pędzimy rozumie się z góry, pod górę zaś gramolimy się z szybkością żółwia, przy tej sposobności nasz elegancki autobus dudni i warczy, szarpie i przystaje, by osiągnąwszy szczyt pędzić z nadzwyczajną szybkością w dół. Jedynie szofer, emigrant rosyjski był panem sytuacji i uspokajał, że nic nam nie grozi. Samo takie uspokajanie w połączeniu z widokiem na stromą drogę, odgrodzoną od przepaści cieńką barjerą, mogło tylko powiększyć strach. W takich warunkach, chciało się wysiąść i wrócić pieszo do miejsca, skąd się wyruszyło. Lecz trudno — kości zostały rzucone, czyli bilet, uprawniający do jazdy samochodem zapłacony. Również taka karkołomna jazda podniecała odwagę i nastręczała wiele emocyj. I gdyby nie piękne widoki, nigdy nie darowałbym sobie, że popełniłem takie głupstwo; pniemy się właśnie na jedno z większych wzniesień — nagle, niespodziewanie, jak za podniesieniem kurtyny w gigantycznym teatrze, otwiera się przed nami wspaniały widok na Adrjatyk. Mamy przed sobą ogromną zatokę, tworzącą liczne zazębienia w błab lądu. Powierzchnia morza lśni i drga jak żywe srebro. Widzimy stąd pełną linję brzegu od granic Italji aż po wyspę Rab. Nad nami piętrzą się góry, które niby groźne, mityczne potwory czuwają nad całością i bezpieczeństwem państwa jugosłowiańskiego. Pół godziny jeszcze, a auto porzuca zawrotne wiraże, wpada w morze bujnej zieleni, a nożdza nasze uderza subtelna woń jodu i soli.

Stop! — jesteśmy w Crikvenicy. D. c. n.



Pierwsza defilada P. W. K.



W tym roku dzień jedenastego listopada pozostawił w mojej pamięci, niezatarte wspomnienia.

Ponieważ należę do P.W.K., miałam uczestniczyć pierwszy raz w „prawdziwej" defiladzie. Już zawczasu martwiłam się o to, czy wszystkie przyjdą, a czy będą miały mundury, czy się niespóźnimy? i t. d. Podobne obawy miały moje koleżanki, lecz wszystko odbyło się bez wypadku. O godzinie ósmej byłyśmy wszystkie na dziedzińcu szkolnym — cały hufiec. Teraz dopiero zaczęła się „tragedja", bo pani komendantka urządziła przegląd pantofli i pończoszek, przez co dostałyśmy piątą kompanję t. zw. honorową, utworzoną z koleżanek różnych szkół, które miały jasne pończochy i wysokie obcasy. Boże, co to była za kompanja! Szły, jak im się podobało, no, a my dumne z tego, że nienależymy do takiej kompanji nazwałyśmy je „patałachami". Po nabożeństwie, które odbyło się na Jasnej Górze, nastąpiła upragniona defilada. Upragniona, a jednak straszna, bo a nuż się „zbłaźnimy" i co wtedy będzie? Maszerujemy raźno. Moja sąsiadka niezważając na komendę „baczność, na prawo patrz" wybucha niepowstrzymanym śmiechem bo na placu magistrackim zobaczyła długi, fioletowy nos oficera kierunkowego. (Boże wybacz mi, że się wyśmiewam z cudzej

biedy, ale tak zabawnie wyglądał. Choć kto wie? Może i mój nielepiej wyglądał, ale swojego przynajmniej niewidziałem, a tamten? wolę niekończyć). Naturalnie żadna nieprzeszła koło oficera z „długim nosem" poważnie, a chociaż starałyśmy się śmiech stłumić, to jednak oczy mówiły wszystko. Przez Aleje, zapełnione znajomemi osobami i rodzicami, którzy przyszli zobaczyć nasz hufiec, szłyśmy dość dobrze, a nawet ta „kompanja honorowa" starała się iść równym krokiem mimo wysokich obcasów. Przed szkołą pożegnałyśmy panią komendantkę, zrobiłyśmy przepisowe „w tył zwrot" i rozgorączkowane, zaczęłyśmy szukać koleżanek, któreby nam powiedziały, jak wypadł nasz pierwszy publiczny „występ"?



ŻYCIE GWIAZD.



Wiek XX jest wiekiem niebywałego rozwoju nauki w ogóle, a astronomji w szczególności. Ulepszenie spektroskopu, budowa precyzyjnych narzędzi astronomicznych i potężnych teleskopów, teorja kwantów, teorja względności, badania nad budową atomu, wszystko to przyczyniło się do powstania nowej gałęzi astronomji t. zw. astrofizyki, czyli nauki o stanie fizycznym ciał niebieskich.

Gdy w wieku XIX astronom zajmował się wyłącznie badaniem planet i ich orbit, a o świecie gwiazd miał wiadomości nikłe i niepewne, dziś uzbrojony w najnowsze zdobycze astrofizyki śmiało zapuszcza się w niezmierzone przestrzenie zasiane światami, mierzy masy i gęstości, temperatury i światło gwiazd, bada atmosfery i wnętrza, poznaje ich budowę, a nawet ośmiela się z pewną dozą dokładności określić wiek, przeszłość i daleką przyszłość tych najdziwniejszych tworów Wszechświata.

Ilość gwiazd można określić tylko w przybliżeniu. W każdym razie ilość ta w znanej nam dziś części Wszechświata sięga cyfry wielu tysięcy biljonów.

Jasności bezwzględne gwiazd wahają się w bardzo rozległych granicach. Najjaśniejsza z gwiazd S Dorado przewyższa blaskiem słońce 300.000 razy, gdy położona na przeciwnym krańcu Wolf 359 jest odeń 50.000 razy słabsza.

Temperaturę gwiazdy można określić posługując się wspomnianym już spektroskopem. Przepuszczając jednobarwne jej światło przez ten przyrząd otrzymujemy t. zw. widmo. Z typu widmowego, charakteryzującego pewien rodzaj gwiazd, można wyznaczyć ich temperatury, ponieważ wiemy jak gorące muszą być amosfery, aby w ich widmach wystąpiły charakterystyczne dla danego typu prążki absorbcyjne.

Temperatury wnętrz gwiazdowych dochodzą do potwornej cyfry 50 miljonów stopni.

Jeszcze przed wojną astronom amerykański Russell podał ciekawą, a doniosłą dla nauki teorję ewolucji gwiazd.

Gwiazda rozpoczyna życie jako czerwony olbrzym. Stopniowo materja jej ulega zagęszczeniu, temperatura wzrasta, a co za tem idzie gwiazda staje się coraz jaśniejszą. W pewnym okresie osiąga najwyższą temperaturę i tu kończy się żywot olbrzyma; od tej chwili poczyna gwiazda stygnąć, zmniejszając się jednak nadal. U schyłku żywota staje się czerwonym karłem dążącym do zupełnego wygaśnięcia.

Czerwone olbrzymy charakteryzują się bardzo małą gęstością, ponieważ jednak kurczą się one stopniowo, więc gęstość ich musi wzrastać, aż w przypadku czerwonych karłów dochodzi do nieprawdopodobnych wartości. Jako przykład można podać wprawdzie nie czerwonego karła Syrjusza B; centymetr sześcienny materji jego ważyłby na Ziemi aż 60 kilogramów.

Nie znaczy jednak wcale, iż podczas całego procesu ewolucji masa gwiazdy nie ulega zmianie. Na schyłku żywota masa czerwonego karła jest zaledwie znikomą częścią tej masy, którą posiadał on, gdy rozpoczynał życie, jako czerwony olbrzym. Tą nieustanną stratę masy zawdzięcza każda gwiazda promieniowaniu.

Słońce traci codziennie 360 miljardów tonn materji, dzięki właśnie promieniowaniu. Tutaj dochodzimy do zagadnienia, które od kilku wieków nie dawało uczonym spokoju. W jaki sposób słońce, promieniując tak hojnie przez tak wielkie okresy czasu, nie traci nic na swej temperaturze ani jasności?

Gdzie leży źródło ogromnych zapasów energji Słońca i gwiazd?

Nad rozwiązaniem tego zagadnienia połamali sobie zęby uczeni tej miary, co Meyer i Helmholtz. Dopiero ostatnie lata, lata badań nad budową wnętrza atomu dały nam odpowiedź na tak ważne pytania.

Źródło energji gwiazd i słońca leży w procesie unicestwiania materji. Proces ten tłumaczymy sobie w następujący sposób.

Ujemnie naładowany elektron spada na dodatnie jądro atomu, następuje gwałtowne zobojętnienie i oswobodzona energja ulatuje w postaci gwałtownego błysku. Ponieważ wiadomo, że cały atom zbudowany jest tylko z energji, więc oswobodzenie jej pociąga za sobą już nie rozpad ,ale zupełne zniszczenie atomu, który przestaje istnieć.

Proces unistwiania materji zachodzi wszędzie, w największym jednak stopniu na gwiazdach, a więc i na Słońcu i jemu to właśnie zawdzięczamy życie.

Gwiazdy młode promieniują z niesłychaną potęgą, poczem stopniowo stają się oszczędne, aż wreszcie na starość stają się skąpcami i mogą swe życie przedłużać prawie nieskończenie. Wytłumaczenie tego zjawiska jest proste. Zagładzie ulegać mogą tylko pewne atomy, które nie uległy zjonizowaniu pod wpływem wysokich temperatur gwiazdowych. Gdyby było inaczej, wszystkie wolne elektrony spadłyby na swobodne jądra i gwiazda wybuchłaby gwałtownie.

Z biegiem czasu ilość atomów zdolnych do unicestwienia ulega nieproporcjonalnemu zmniejszeniu się i temu zawdzięczać należy długi, bardzo długi żywot gwiazdy.

Ostatecznym losem wszystkich atomów we Wszechświecie jest zagłada. Wszechświat cały zamieni się w promieniowanie. Zanim jednak my sami zamienimy się w światło, zgaśnie już Słońce.

Szczupłe ramy artykułu pozwalają jedynie na kilka tylko uwag o życiu gwiazd.

Kto chce wiedzieć więcej o tych niezwykle ciekawych tworach kosmicznych niech sięgnie do książek astronomicznych, a przekona się, kiedy trzeba być dumnym, a kiedy się ukorzyć.

Tadeusz Seifried, G.P.H.S.



Ile zarabiali poeci polscy?



W przeciwieństwie do poetów i pisarzy zagranicznych, którzy z pracy swej literackiej dorobili się ogromnych majątków, poeci polscy zarabiali bardzo mało, a często nawet musieli dokładać.

Czytamy, że Walter Scott wyciągnął wiele miljonów za swoje dzieła. Wiktor Hugo zdobył wielki majątek, Dumas zaś (ojciec) brał więcej za jeden wiersz, niż razem wzięci poeci polscy w epoce romantyzmu. Czytamy, że Mickiewicz musiał zastawiać rodzinny zegarek, ażeby opłacić koszta druku, za Sło wackiego, matka płaciła rachunki drukarskie, Krasicki zaś wynagradzał lu-

dzi, za to, żeby nie zdradzili jego autorstwa. Stosunkowo z poetów polskich, w epoce romantyzmu, najlepiej wychodził Mickiewicz. Ten, prace swe ogłaszał własnym nakładem i sam swe książki sprzedawał znajomym i przyjaciołom. Za „Konrada Wallenroda“ zebrał około 600 rubli, zaś za „Pana Tadeusza, Giaura“, i drugie wydanie „Dziadów“ część III, dostał 6500 franków. Gorzej przedstawiał się los drugiego poety, Słowackiego. Ten, nietylko, że nie zarabiał na swoich dziełach, ale często tracił. Jeśli zaś był zarobek, to był on bardzo nikły i nie mógł on wystarczyć na potrzeby autora. Gdyby nie matka, która zasilała finansowo jego zapotrzebowania, Słowacki musiałby się chwycić innej pracy. Dopiero w drugiej połowie XIX wieku, zaczyna polepszać się dola poetów. W latach tych, wzrasta znacznie poczytność, ludzie zaczynają bardziej zajmować się literaturą i księgarze, wydawcy, nabierają ducha i odwagi wydawniczej. Teraz, poeci mniejsi, biorą więcej za jedno dzieło, niż Mickiewicz za kilka.

Juljan Niemcewicz za swego „Jana z łęczyna“ dostał 500 dukatów w złocie. Wincenty Pol, piewca ziemi naszej, za „Mohorta“ 6000 rubli srebrem, zaś za „Pieśń o ziemi naszej“ po 5 zł. p. od wiersza. Kiedy zaś, poczęto drukować utwory pisarzy w gazetach (pierwszy odcinek powieściowy w 1851 roku) poczytność znacznie wzrosła, dzięki której, poeci i powieściopisarze lepiej są wynagradzani za swe dzieła.

A. Żaba, Gimn. Związkowe.



Na największej skoczni w Polsce.



Z ćwiczeń P. W.



Przed hufcem w jednej z klas. Wiwat, niema dziś hufca! woła jeden z kolegów, wpadając piorunem do klasy. Ty, ty, bez głupich żartów, nie bujaj, stary kawał, znamy się na tem — podniosły się w odpowiedzi

okrzyki z klasy. Zdetonowano go ostrymi przycinkami — zamilkł. Zespół klasowy nie był w tej chwili usposobiony do żartów i dowcipów —hoć to chleb powszedni. Ale niema się co dziwić, wszak perspektywa dwugodzinnych męczących ćwiczeń w koszarach, po pięciogodzinnem ślęczeniu w nudnej, ciężkiej i bezsłonecznej atmosferze (na dworze chlapa — śnieg z deszczem — brr, psa żal wygnać) klasy nad matematyką, fizyką i tem podobnemi ciężkostrawnemi przedmiotami.

To też przygnębienie i ociężałość daje się tu wyczuwać, miast zwykłego animuszu. Wszyscy, którzy należą do hufca, co stanowi bezwzględną większość klasy, zbierają się na zbiórkę zbyt powoli i ospale, bo każdy pogrąża się w myślach, jakby tu sposobem „dozwolonym“ zdezerterować do domu.

Dezercja i zezwolenie — absurd, w języku naszym pojęcia najzupełniej zgodne, byle dezerter figurował na liście, jako obecny. Takie jednak rzeczy należą do kunsztu swego rodzaju i wszelkie zamiary w tym kierunku bywają najczęściej, prócz rzadkich częstości, niezrealizowane, ze względu na przykre w istocie konsekwencje. Co moment więc gdy wszelkie kalkulacje nie nasuwają pożądanego rozwiązania sprawy, daje się słyszeć wśród tak wysoce uduchowionego nastroju, głębokie, wprost od serca płynące westchnienia, jak np. „ażeby to szlak...“ no i jeszcze inne strzelistsze w treści, dosadniejsze błogosławieństwa.

Nagle: „dziś ćwiczeń niema—w sobotę całodzienne“ wszedłszy do klasy, ogłosił hufcowy. Na jedno okamgnienie absolutna cisza zaległa klasę. Cisza—złowrogi zwiastun burzy; w tej bowiem chwili klasa ryknęła, jak tylko ryknąć umie, gdy chce wyrazić nagły przypływ radości; krzyki, piski, wycia, śpiewy, gwizdy, trzask pulpitów, słowem tumult, napowietrzny transport palt, teczek, czapek, pantofli etc. Wszystko to w sumie trwa jednak b. krótko, jeszcze tylko kilka wykrzykników: serwus, przyjdź, w sobotę całodzienny — klawo, przepadną lekcje, idziemy! i klasa pozostaje pusta.

Ćwiczenia całodzienne: Inaczej odnosi się hufiec do t. z. świczeń całodziennych (do t. z. całodziennych w istocie półdziennych), niż do normalnych, dwugodzinnych. Jaskrawo przedewszystkiem uderza w oczy niezwykła liczba obecnych (z wyjątkiem chorych nie brakuje nikogo) i zdrowy, przejawiający się w dowcipach natury aktualo-swoistej, humor. Niemożna nigdy ukryć błogiego uczucia, jakie ogarnia człowieka, gdy nie czuje pod pachą utrapionych książek i niema potrzeby (myśleć) dręczyć się zadną lekcją. Wszystko też idzie zgrabnie, składnie, jak nigdy. Zbiórka, odlicz, kolumna czwórkowa — i hufiec wyrusza w stanie najokazalszym (do 80 ludzi).

Dlaczego taka nagła zmiana frontu względem ćwiczeń hufca, wyjaśniać nie potrzeba, bo nawet, nie powiem najgłępsi, ale ci, którzy mają najwięcej dwój, przyznają tym, co idą na ćwiczenia całodzienne — najzupełniejszą rację (w tym jednym tylko wypadku). Ktoby się to nie zgodził ćwiczyć choćby i na mrozie do 12-ej a najwyżej do 1-ej (w południe), miast przeżuwać lekcje. No

pewnie, że nikt z hufca w ten sposób nie filozofuje, postępuje odruchowo, lecz niezawodnie, zawsze zgodnie z głosem rozsądku.

Drogę do koszar przebywa się wesoło, bo, choć „kłapacze“ mają być zamknięte, psyka się na lewo i prawo na Kasie, Marysie spieszące z mlekiem i bułkami, lub na spóźnione koleżanki po „fachu“. A przed „Nazaretem“ hufiec śpiewa co sił w gardłach, wciąż jedną i tę samą piosenkę (adres odnośny): „U młynarza Marcina, jest ci głupia dziewczyna, na imię jej... Nina!“

— — — — — — — — — — — —

W koszarach nam oznajmiają, że będziemy mieć ćwiczenia polowe. Mróz siarczysty, śnieg jak cukier, że z pod nóg się usuwa, uniemożliwiając drogę, a my ćwiczenia polowe... brr, nie zbyt przyjemnie.

Nie jeden już pożałował swej skwapliwości, wolałby siedzieć w klasie, niż roztupywać suchy sieg, chuchać w palce i rozcierać uszy—prawie bez skutku.

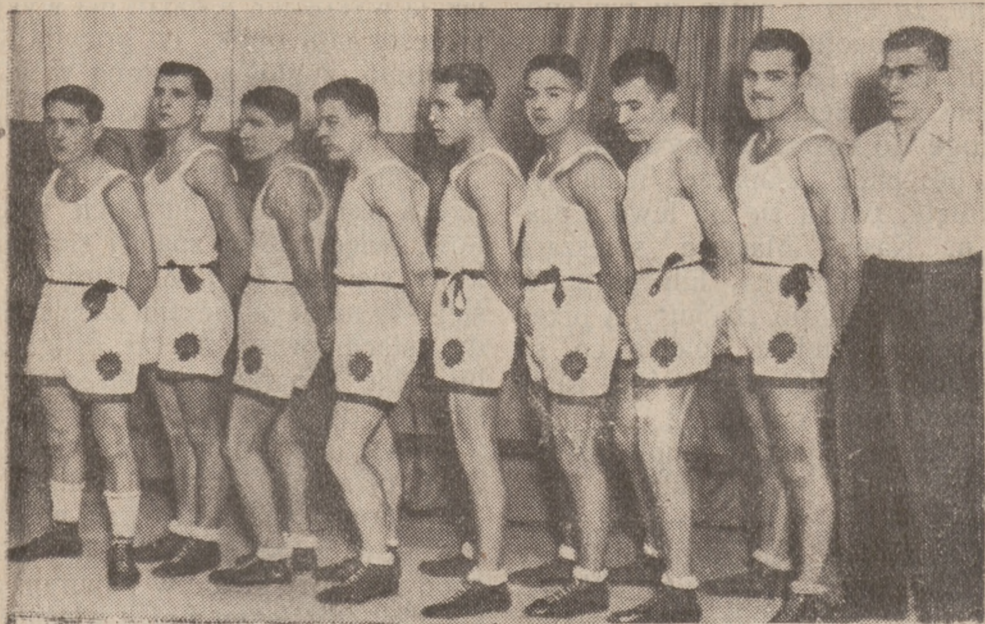
A tu wykład, stój, słuchaj. Mróz nas ściskał coraz bardziej, nie na żarty, ale skarżyć się nam nie wypada... E, skąd znowu, co za myśl, nikby się nie odważył, przecież my wojsko! Wszak nam już na ćwiczeniach—podczas przerw — wolno oficjalnie palić! No rozumie się, tylko wtedy, gdy nie widzi profesor, zawsze zresztą w takich razach obecny, ale wolno. Mimo wszystko jednak zimno, przerwa jeszcze pewnie nie prędko..., jak tu sobie poradzić, psiakość!

Jeden z palących radzi zapalić „fajkę“ to zaraz minie. Hm, pewnie, kazdy o tem wie, rada dobra, ale jak ją wykonać? Kapitan ma wykład, profesor stoi obok, co prawda nieruchomo, z głową wtuloną w wysoki futrzany kołnierz. Możnaby spróbować za plecami. Ba, ale kto?

Niema zbyt chętnych. Ale, że potrzeba jest źródłem ludzkich wyczynów, więc i tutaj znalazł się jeden, który się poświęcił. Zbliśmy się ściślej—za naszemi plecami zapalił. Kiedy „stachnąwszy“ się raz, drugi, zrobił sobie „dobrze“, wypuszczając ostrożnie dym ku ziemi, za wiatrem (odpowiednio obrana pozycja), poczęli ostrożnie kolejno zbliżać się „zawodowi“ (na hufcu palą wszyscy zawodowi i „sezonowi“), aby sobie choć raz pociągnąć. W pewnym momencie, gdy jeden z nich właśnie się delektował, stojąc byłem do profesora (w kierunku wiatru), gdy ten ostatni począł powoli (szczęście, że powoli) zwracać się w jego stronę. Wszyscy, którzy to widzieli pomyśleli i „wpadł“. Ale zdążono go szarpnąć. Zrozumiał. (Jak się okazało, był to mistrz w swej sztuce.) Rąk z kieszeni nie wyciągnął (ku zdziwieniu naszemu). natomiast otworzył usta, wyciągnął język, wciągnął, usta zamknął — papieros znikł. Trwało to jedną sekundę.

Profesor nie domyślił się niczego, on tymczasem przeszedł jak nigdy nic na drugą stronę, gdzie za plecami kolegów, ku naszemu zdumieniu, powtórzył tę samą operację z językiem (bez pomocy rąk) i za chwilę zaciągnął się rozkosznie trzymanym znów w ustach papierosem.

Nareszcie daną nam przerwę dziesięcio minutową. Byliśmy w polu, obok jakiejś wsi. Najbliżej nas wznosił się jakiś duży murowany dom—



Zwycięska reprezentacja Łodzi, która pokonała Brno w stosunku 10:6.

pobiegliśmy tam w nadzieji ogrzania się. Sam dom mieszkalny wielki, ciężki, z odrapanemi ścianami — słowem antyk tylko wbrew zwyczajowi - bezwartościowy. Ale co to kogo może obchodzić, że niektóre otwory w oknach są przytkane wiechciami, lub, że z sieni dolatuje charakterystyczne świńskie chrząkanie, byle się ogrzać i zjeść śniadanie — bo na dworze nie sposób, ręce posztywniały. — Ale takiej gromady nie puszczą — wygłasza obawę któryś. — To nie pytać a wejść! — No pewno! Zrobione! Podniosły się głowy. Zdecydowano się. Naprzód dwóch — pukają - wchodzą. Czy można zapalić papierosa? Znak zapewnie przyzwalający, bo wchodzą głębiej. W tej chwili wchodzi jeszcze dwóch, jeszcze dwóch, trzech, wszyscy — po ogień do papierosów. Wnet ciepło wielkiej, kwadratowej kuchni, o ścianach koloru wszelkich odcieni, w deseń prosty, ale efektowny i brunatne place (najobfitsze na kominie) okrągłych, czarnawych punkcików, przypominających kropki na papierze ożywiło nas.

Rozmieściliśmy się, jak się dało, na stole, ławie, oknie, większa część jednak zmuszona była z braku miejsc stać (ci skupili się bliżej pieca).

W pewnym momencie, gdy wszyscy na dobre zajęci byli spełnianiem jednej z najważniejszych trzech czynności życiowych, a mianowicie odżywianiem się, drzwi prowadzące gdzieś wgłąb apartamentów znagła otworzyły się, a w nich, o dziwo, ukazała się, ni mniej, ni więcej, jedna z sienkiewiczowskich postaci „Ogniem i mieczem“, gigantycznych rozmiarów w butach z cholewami pod kolana, w sukience, czerwonym półkożuszku, o twarzy koloru piwonji

(rysów już nie pomnę), na głowie sterczało coś w rodzaju czapki. Zjawisko jak na czasy dzisiejsze, niespodziewane. Uciszyło się. W półkolu o promieniu dwóch metrów od owego monstrum zrobiło się pusto. Nie ze strachu, co znowu, ale dla logicznej ostrożności. Strzeżonego P. Bóg strzeże (a kul święconych nie było, choć karabiny mieliśmy).

Pani dziedziczką (jak się później okazało) odezwała się rzeczywistym ludzkim głosem, (wskutek czego pierzchło nagłe zaskoczenie) przepraszając nas, że nie może nas zaprosić dalej (!) z powodu choroby męża. Na to jeden, mający się za najodważniejszego (chyba na zasadzie, że w wielkim ciele — wielki duch) ten sam, który w kilka chwil później został spłoszony przez nagłe gdakanie gdzieś podstępnie ukrytej kury od jakiejś dyskretnej operacji przy blasze, wystąpił na czoło, dziękując w górnolotnym tonie za łaskę ogrzania się, dodając, że na to żołnierz (!) nie zwraca uwagi. Szanowna pani dziedziczka wyszła, zostawiając nas samych.

Za kilka minut byliśmy znów w domu.

W. K. były uczeń Gimnazjum H. S.

DWA FRAGMENTY.

CISZA...

Śpiewają gór harfiarze,
Pieśń płynie pośród skał,
Dźwiga się w mojej duszy:
Tęsknota, smutek, żal.
Już skrzydła lazurowe
Rozpięła w dal i śni,
Już srebrnych fal tęskotę
Ukoił ciszy ton;

Modli się dzwon wieczorny,
Pszeniczny szumi łan...
Na niebie zorza złota,
I śpiewa stary bór.
Nie tętni bólem serce
Nie płynie w głębi myśl;
Bóg rozlał spokój błogi
Wieczorny dzwoni dzwon...

BÓL...

Słyszysz, jak wichry płaczą,
Płynące pośród pól?
Szarpie się pierś rozpaczą,
Kołysze w sercu ból...

Noc czarna naokoło,
Czeluście chmurzysk mkną...
Bladość okryła czoło
I oczy błyszczą łzą...

Duch ponad światem leci,
Skarży się: „źle mi, źle”
Wśród smutku i zamieci
W słoneczne światy mknie.

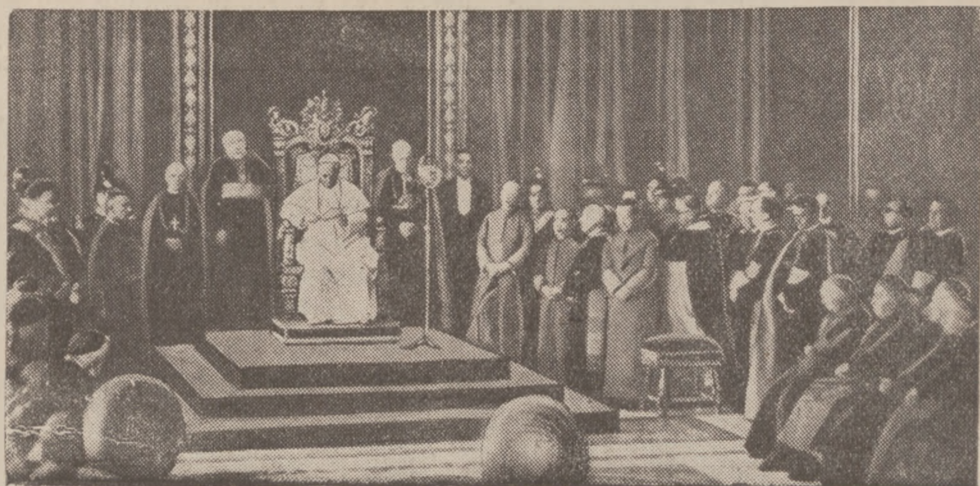
CEEM, kl. VIII G. R. T.



Moje pierwsze polowanie.



Miesiąc wrzesień jest ze szczególnem utęsknieniem wyczekiwany przez myśliwych, bo przecież już 1-go września rozpoczyna się polowanie na kuropatwy. Jest ono jednem z najprzyjemniejszych polowań, dostępne dla licznych myśliwych. Co za emocja! Ileż to trudów (i kosztów!) człek ponosi, by przywieźć do domu te kilkanaście, czy więcej nawet kuropatw! Nie wiem, za jaką cenę zgodziłbym się



Ogłoszenie Roku Świętego przez Papieża Piusa XI w dniu wigilijnym.

wstać o 4-ej rano, tłuc się potem kawał czasu pociągiem lub autobusem, a potem niemal cały dzień ganiać po polach, nieraz na upale lub deszczu. A jednak za cenę polowania to robię, i to b. chętnie. Gdy, idąc bocznemi ulicami, muszę ezaśem przejść kawałek drogi po nierównym bruku, narzekam na porządki w mieście, ale gdy parę godzin bez przerwy chodzę po zaoranej ziemi i skaczę po bruzdach w polu, słowo skargi z mych ust się nie wyrwie. Gdy po deszczu na ulicy jest błoto, nie chce mi się nawet wyjść na spacer, ale po mokrej łące i po bagnie brodzę, polując na kaczki. Oto poświęcenie myśliwego.

Pomimo tego, już od dziecka niemal chcialem nietylko „pukać“ z wiatrówki do wróbli, ale na dobre zapolować. Wreszcie moje marzenia się spełniły. Coś koło trzech lat temu rozpocząłem moją „karjerę“ myśliwską. Po nieprzespanej nocy; podczas której marzyłem, jak to będę wracał do domu obładowany zdobyczami, z mnóstwem ładunków w torbie, dubeltówką na ramieniu i nadzieją w sercu, wyjechałem pociągiem w towarzystwie starych nemrodów. Gdy jednak znalazłem się już na polu, cała fantazja i pewność siebie opuściły mnie. Najgłówniejsze było to, że poprostu nie wiedziałem, do czego strzelać... Ja, zatwardziały mieszczuch, widziałem dotychczas kuropatwy tylko na półmisku, ale nie na polu. To też przezornie szedłem parę minut za starym myśliwym, aby popatrzeć „jak on to robi”! O! właśnie wyleciało z kartofli stado dużych ptaków (domyśliłem się, że były to kuropatwy) — strzał (ale nie mój!) i jedna kura spada. Mój pies porwał ją natychmiast i przyniósł ją oczywiście mnie, ale ja niestety musiałem ją oddać chłopcu, który nosił zdobycze tamtego myśliwego.

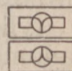
Teraz ja zapragnąłem doznać rozkoszy, znanej tylko myśliwym. Puściłem się więc w drugą stronę z psem i chłopcem. Idę, idę, aż nagle... pędzę co tchu tam, gdzie pies przyczaił się i nieruchomo wpatrywał w jeden punkt na roli. Skinienie, a mó: W'erny rzucił się w kierunku przyczajonycz kuropatw. Z szumem zerwało się stado. Gruchnęły moje dwa strzały, ale kury, wcale się tem nie przejmując, poleciały dalej. Pies spojrzał na mnie ze zdziwieniem i jakby z wyrzutem, że nic nie trafiłem, usiłowałem go przekonać, że i tak nic z jego pracy. Spotkałem jednego myśliwego, który miał koło 10-ciu kur. Gdy usmiechnął się, widząc, że nic nie trafiłem, usiłowałem go przekonać, że ja zupełnie dobrze celuję, ale te bestje kuropatwy nie lecą tam, gdzie ja strzelam.

Nie chciał mi uwierzyć. — Trudno. W tem z pod nóg wyrwało się jakieś stado. Strzeliłem w nie od niechcenia prawie bez celowania. Ale co się dzieje? Ni mniej, ni więcej, tylko naraz trzy kuropatwy spadły. Nawet pies nie chciał pobiedz po ptaki, dopiero gdy zobaczył, że jeden ranny ptak ucieka, rzucił się i przyniósł mi z przedpola do rąk 3 (słowami trzy) kuropatwy! Nie mając się przed kim chwalić, usiłem choć chłopca, który ze mną chodził, przekonać, że ja tak specjalnie w środek mierzyłem, żeby 3 spadły i t. d. Nie trzeba dodawać, że potem godzinę stale puszczałem naboje Panu Bogu w okno, ale przecież miałem dziewięć kur, co na początek nie było wcale źle, gdyż nawet jeden stary myśliwy miał mniej „na rozkładzie”. Głupstwo, że potem zmokłem, jak nigdy w życiu (do tego stopnia, że w chałupie u chłopa trzeba było zdejmować całe ubranie, aby wyżąć z wody), głupstwo, że od oddania kilkudziesięciu strzałów z fuzji spuchło mi ramię (dotychczas strzelałem tylko z wiatrówki, a w najlepszym razie z flowertu). Trzeba było przeboleć i to, że nazajutrz, myśląc na matematyce, jak to wczoraj ładnie strąciłem jedną kurę, oberwałem dwóję. Grunt, że zabiłem własnoręcznie 9 kuropatw, co mnie napełniało dumę.

St. P. VIII kl. G. P. H. S.



O przyszłość przemysłu ludowego i domowego w Polsce.



Rozwój przemysłu ludowego wraz z instytucjami do tego celu stworzonemi datuje się na ziemiach polskich mniejwięcej od roku 1880.

W pracy tej przodował sejm galicyjski,w imieniu którego Wydział Krajowy wraz z Komisją przemysłową realizowały programy mające na celu popieranie przemysłu krajowego, pod którym rozumiano wówczas tylko przemysł ludowy i rękodzieło, — przy pomocy: 1) ulg podatkowych, 2) nisko pro centowych kredytów inwestycyjnych, oraz 3) organizacji szkół i kursów zawodowych.

Zarówno przemysł ludowy, jak i domowy najwięcej jest rozwinięty i kwitnie on na Podkarpaciu i Podhalu, a zwłaszcza w Małopolsce Zachodniej.

Już w roku 1883 ówczesny Wydział Krajowy subsydjuje 91 tysięcy koron na cele popierania przemysłu ludowego i rękodzieła.

W cztery lata później na podstawie sporządzonej statystyki Komisji Krajowej dla spraw przemysłu ludowego i rę kodzieła mieliśmy w byłej Galicji 18 szkół zawodowych, a w budżecie krajowym wstawiona była na ten cel kwota 95.000 kor. austrj.

O ożywionej działalności Krajowej Komisji Przemysłowej, powołanej do popierania tego przemysłu (ludowego), świadczy fakt, że jej akcją został również objęty przemysł fabryczny, oraz powstanie wiele placówek rękodzielniczych, przemysłu ludowego i fabrycznego.

Wojna światowa, zwana wojną naro dów zrobiła swoje. Zniszczyła ona nasze warsztaty pracy, ale dała nam Nie podległość i Wolność.

W niepodległej Polsce w ciągu kilku lat wiele zrobiono, odbudowano silne państwo.

Dziś najwyższy czas w odrodzonej ojczyźnie, by inicjatywa prywatna i społeczna wraz z rządem przystąpiła — między innemi — do rozwiązania szeregu zagadnień gospodarczych. Na rząd jednak wszystkiego nie można zwalać. Nader ważnym składnikiem naszego życia ekonomicznego, który wywiera poważny wpływ na stosunki gospodarcze Polski jest właśnie przemysł ludowy. Oprócz przemysłu ludowego, domowego, mającego w wielu wypadkach zachowanie motywów ludowych, jakoteż wartości artystycznych wzorów rodzimych, należy natychmiast

otoczyć opieką właściwy przemysł ludowy w Polsce niepodległej. Należy natychmiast rozpocząć przy pomocy szkół i kursów zawodowych akcję stopniowego podnoszenia i uszlachetniania narodowej produkcji przemysłu ludowego. Wieś poza wyszkoleniem rolniczem powinna i to koniecznie przyswoić sobie cały szereg nieznanych jej rzemiosł, jako też rozwinąć cały szereg gałęzi przemysłu ludowego, bez których nie może ona postawić swych gospodarstw na odpowiednim poziomie.

Dziś przemysłowi ludowemu potrzeba przedewszystkiem: a) zawodowej szkoły, b) umożliwienie pojedyńczym producentom, względnie grupom wytwórców łatwiejszego zbytu, chociażby tylko drogą podania do publicznej wiadomości ośrodków produkcji ludowej, c) nisko procentowych kredytów rozprowadzanych przez lokalne Kasy Oszczędności, względnie Kasy Rolnicze (Kasy im. Stefczyka) znające życie rolnika i drobnego mieszczanina. Obecne czasy, czasy przesilenia pieniężnego charakteryzujące się upadkiem wielu przedsiębiorstw, zarówno wielkich jak i małych, z powodu braku gotówki, a zatem niewypłacalności nakazują większą ostrożność w zakładaniu i prowadzeniu małych warsztatów przemysłowych, niż przed wojną.

Wprawdzie niektóre warsztaty ręko dzielnicze względnie przemysłowe, są przez przemysł fabryczny zaatakowane i niszczone, jednak na miejsce ich powstają nowe rodzaje rękodzieł, względnie stare zyskują na odporności przez odpowiednią mechanizację swych warsztatów, a przedewszystkiem odpowiednie wyszkolenie pracowników. Dziś to szkolenie zawodowe odgrywa ważną rolę. Nikt bowiem nie może powiedzieć, które z rzemiosł przemysłu ludowego będzie przez maszyny zaatakowane, w jaki sposób należy się zastosować do warunków pracy.

Dlatego i w rękodziele i w przemyśle ludowym, oraz chałupnictwie nie wystarcza tylko znajomość tych rękoczynów, które składają się na dane rzemiosło. Trzeba posiadać zawsze szersze wiadomości z zakresu znawstwa materjału, z zakresu nowoczesnej produkcji, ażeby móc się dostosować do nowych sposób produkcji.

Wiadomości te można nabyć, tylko przez szkołę zawodową.

Rozwój przemysłu ludowego i domowego jest dopiero w zaczątkach i stoi jeszcze bardzo nisko w porównaniu z państwami takimi jak: Francja, Anglja, Niemcy i Danja, gdzie przemysł ten postawiony jest na bardzo wysokim poziomie, podczas gdy w Polsce pozostawia wiele do życzenia.

Przemysł ludowy przerabia prawie wszystkie surowce jakiemi kraj rozporządza i wypełnia potrzeby wsi polskiej.

Przemysł ludowy, to budownictwo wiejskie, wyrób sprzętów, statków domowych, narzędzi, warsztatów, ubiorów, strojów, przedmiotów użytkowych, wyrobów spożywczych, oraz zdobniczych.

O potędze przemysłu ludowego świadczy fakt, iż przemysł ten nietylko w Polsce, ale również w krajach najbardziej uprzemysłowionych pokrywa dotąd w przeważnej części zapotrzebowanie klasy rolniczej, a także mieszkańców miast.

Reasumując powyższe wywody muszę stwierdzić, iż władze nasze w miarę możności winny przemysł ten wspierać pod każdym względem, a zwłaszcza tam gdzie jest on najbardziej rozwiniętym (Podkarpacie), co wpłynie nietylko na dobrobyt wsi polskiej, ale na rozwój naszego życia gospodarczego.

O zmyśle artystycznym przejawiającym się w wytworach (wyrobach) przemysłu ludowego na Podkarpaciu i u górali, tak się wyraził znany pisarz gwary podhalańskiej W. Orkan: — „Bóg jakby chciał wynagrodzić ubóstwo podkarpackiej gleby i obdarzył jej udność przecudną naturą, bogactwem źródeł leczniczych i piękną przyrodą, a przedewszystkiem wielką zręcznością w pracy i poczuciem artystycznem,

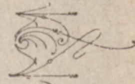
które pojawia się na całem Podkarpaciu, od granicy czechosłowackiej do rumuńskiej, w cudownych ludowych rzeźbach, ceramice, koronkach, haftach, wyrobach drzewnych i t. d.“

Obyśmy nie zmarnowali tych darów w niepodległej Polsce, tylko byli zdolni wyzyskać je dla dobra społeczeństwa i potęgi gospodarczej Rzeczypospolitej.

J. Dzłób, Szkoła Handlowa.
W. G., G.P.J.S.



Sport w młodości.



W ostatnim lat dziesiątku rozwój sportu postępował bardzo szybko. Pomijając wyniki, gonienie za rekordami i ustawiczne ich obalanie, podkreślić należy przedewszystkiem spopularyzowanie sportu. Dzisiaj sport jest uprawiany przez setki tysięcy ludzi. I nic w tem dziwnego. Liczba sportsmenów wzrasta i stale jeszcze wzrastać będzie dlatego, że znaczenie sportu dla ciała i duszy rozumie coraz to więcej ludzi.

(Smutna rzecz, że nie wszyscy umieją połączyć przyjemności z obowiązkiem, na to jednak niema rady).

Zwłaszcza młodzież szkolną sport szczególnie pociąga; młodzież się sportem interesuje i z zapałem uprawia. W świetlicach uczniowskich żadne z pism nie cieszy się tak wielką poczytnością, jak pisma sportowe. Jest to objaw powszechny, wszędzie niemal z jednakową siłą rzucający się w oczy każdemu.

Swego czasu wyszło rozporządzenie zabraniające młodzieży należenia do klubów sportowych. Nie oznacza to bynajmniej, by pęd młodzieży ku sportom chciano powstrzymać, młodzież bowiem może organizować Koła Sportowe na terenie swoich szkół, urządzać zawody wewnętrzne i międzyszkolne.

I tak jest w rzeczywistości. Wielu z nas sądzi, że w każdem innem mieście poza Częstochową, młodzież również uprawia sport na „dziko” czyta tylko pisma sportowe, a sama w życiu sportowem udziału nie bierze. Grubo się mylą ci, co tak sądzą.

W Warszawie i całem szeregu innych miast istnieją Koła sportowe młodzieży szkolnej, które pracują bardzo owocnie, urządzają zawody, a uczestnicy ich osiągają wcale ładne wyniki. Uprawiana jest lekka-atletyka, wszystkie sporty zimowe, a więc hokej, narciarstwo, łyżwiarstwo (jazda szybka i figurowa), saneczkowanie oraz wiele innych sportów. Organizowane są zawody indywidualne, oraz zespołowe o mistrzostwa szkoły i międzyszkolne. Zawody te gromadzą na starcie dziesiątki całe (a nawet setki) zawodników, stających do szlachetnej rywalizacji sportowej i cieszą się b. wielkim zainteresowaniem tak szerokich mas młodzieży (któż w to wątpi!?), jak i rodziców z zadowoleniem przyglądających się synom swym i córkom, walczącym o pierwszeństwo i zaszczytny tytuł mistrza czy mistrzyni.

Osiągnięte w 1932 na terenie Warszawy wyniki świadczą o wysokim poziomie sportowym uczniów.

Przytoczę tu tylko wyniki w sportach zimowych. Inne gałęzie sportu, uprawiane przez młodzież, postaram się omówić w dalszych numerach naszego pisma.

Narciarstwo.

Bieg 6 km. dla seniorów (powyżej lat 16) 1 m. czas 20.30, 2 m. czas 21.35, 3 m. czas 22.05, startowało 16 zawodników.

Bieg 3 km. juniorów (powyżej lat 12) 1 m. czas 8.05 (syn górala), 2 m. czas 11, 3 m. czas 13.

Bieg 1 km. dla chłopców (poniżej lat 12) brak danych.

Bieg 3 km. dla uczenic 1 m. czas 11.15. 2 m. czas 13.10, 3 m. czas 13.27.

Łyżwiarstwo.

Jazda szybka. Uczenice 250 m. 1 m. czas 42.9, 2 m. czas 43.6. Startowało 19 uczenic.

Juniorzy 250 m. 1 m. czas 37 sek., 2 m. 37 sek.

750 mtr. 1 m. czas 1.59, 2 m.—1.59.8 na łyżwach zwykłych.

Na penczenach 1 m. czas 1.40.2, 2 m. —1.41.2

Chłopcy 250 mtr. 1 m. czas 38.2 sek., 2 m.—45 sek.

Seniorzy 500 mtr. 1 m. czas 1.03, 2 m.—1.03.2.

1500 mtr. 1 m. czas 3.56.8, 2 m. — 3.57 na łyżwach zwykłych.

Na panczenach 1 m. czas 3.18.8, 2 m. —3.25.

W konkursie jazdy figurowej startowało 16 uczenic i 18 uchniów.

Do mistrzostw hokejowych stanęło aż 16 drużyn. W wyniku dwutygodniowych walk godność najlepszego zespołu szkół warszawskich zdobyło państw. gimn. im. Czackiego, bijąc w finale po zaciętej walce bardzo stylowo grający zespół gimnazjum Reja w stosunku 3:2 (2:0, 0:0, 1:2).

Już z powyższego łatwo wysnuć wniosek o życiu sportowem młodzieży szkół warszawskich, ale nietylko warszewskich, bo i w całym szeregu miast większych i mniejszych praca sportowa wre; — w zimie pod znakiem śniegu i lodu (jakkolwiek nie idzie w zapomnienie zaprawa zimowa lekko-atletów, również intensywnie uprawiane są gry), w lecie na boiskach.

Ale i częstochowska młodzież nie może pozostać na szarym końcu. Częstochowa—to przecież miasto stojące w pierwszej dziesiątce miast polskich; posiada kilkanaście szkół średnich i zawodowych. — A tymczasem stwierdzić trzeba z przykrością, że Częstochowa, jako ośrodek ruchu sportowego, prawie nie jest brana pod uwagę. Dla imprez sportowych Częstochowy, zaledwie kilka wierszy poświęca prasa. Świadczy to o niskim poziomie sportowym Częstochowy. Co prawda i Częstochowa wzięła się do pracy porządnie. Posiada już trzy stadjony (nawet wzorowo jak na nasze stosunki urządzone), cały szereg placów i boisk sportowych. Częstochowa jednak osiągnie wyniki i należne jej miejsce wśród innych miast wtedy dopiero, gdy młodzież rozpocznie racjonalnie pracować.

Niema czasu na zwlekanie, trzeba się zaraz brać do pracy, organizować koła sportowe i zawiązać następnie międzyszkolną organizację sportową, która ujmie w swe ręce całokształt życia sportowego młodzieży szkolnej w Częstochowie.

Wiklik Stanisław G. P. H. S.

—oOo—

Rekordy życiowe najlepszych łyżwiarzy polskich.

500 m. 1) Jucewicz 49·6, 2) Kulbarczyk 49·8, 3) Majewski 51·6.

1000 m. 1. Kalbarczyk 1·42,2.

3000 m. Kalbarczyk 5:43,6

1500 m, 1) Kalbarczyk 2:36,3. 2) Jucewicz 2:42,6, 3) Majewski 2:51,2.

5000 m. 1) Kalbarczyk 9:06,6, 2) Kuchar 10:10,0. 3) Michalak 10:16,8.

10.000 m. Kalbarczyk 19:32,0. 2) Jucewicz 20:42,0, 3) Kuchar 20:59,2.

1 godzina Nehring 24.781 m. Maraton Nehring 1:47:00,4.

—oOo—

Jaką rolę spełniać ma „Kącik Sportowy“?

Pytanie to wydaje mi się bardzo istotnem, domaga się ono obszernej odpowiedzi. Poco właściwie został wprowadzony jako jeden z działów w „Świecie Szkolnym”? i czy ma rację istnienia nadal?

Czy po to, by w nim można było umieszczać obszerne sprawozdania z imprez sportowych, odbywających się w kraju i zagranicą? — chyba nie.

Cel ten spełniają pisma fachowe.

Celem „kącika sportowego” jest zajmowanie się sportem i sprawami z nim związanemi w odniesieniu do młodzieży wogóle, ze szczególnem uwzględnieniem życia sportowego młodzieży na miejscowym gruncie.

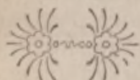
Gdybyśmy się sportem nie zajmowali i go nie uprawiali — kącik nie miałby racji istnienia.

„Kącik sportowy” udzielać ma miejsca szkolnym Kołom Sportowym, na jego łamach składane być mają sprawozdania z dokonanej pracy; ma być wykładnikiem pracy nad sportem w szkole i wspaniałą tego sportu propagandą.

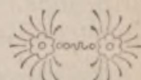
Sądzę, że wielu kolegów tego samego jest zadania.

Stanisław Wiklik G. P. H. S.

Oryginalne zawody narciarskie w Rabce.



KĄCIK DLA NAJMŁODSZYCH.



RANEK.

Wstało słońce od rana
Złote oczy przetarło
I zajrzało przez chmury
Na tę ziemię zamarłą.

Biały całun śniegowy
Na jej zimnym legł łonie,
A szron cudnie rzeźbiony
Otulił drzew skronie.

— — — — — — — — — — — —

Gwar i wrzawa wesoła
Aż pod niebo hen bieży,
Bujna radość i szczęście
Kipią w sercach młodzieży.

Lecą śmiechy wołania
Tętni w żyłach krew młoda
Słońce wali ją złote
I ożywia swoboda.

Halina Krysińska „Zmartwychwstanie".

WESELE U WILKÓW.

Po tym cichym ciemnym lesie,
Echo jakieś głosy niesie.
Boć wiadoma to nowina
Pan wilk dziś wydaje syna.

Zjechało się gości wiele
Na to wspaniałe wesele.
Przyszła nawet swojska koza
Co to ucieka od woza.
Przyszedł także kotek bury,
Dwóch zajęcy i dwa szczury.

Prezenty były wspaniałe,
Były duże, były małe,
A zając tłusty,
Przyniósł dwie głowy kapusty.

Było bardzo przyjemnie,
Nie zjadać się wzajemnie.
A do tego wesela,
Grała leśna kapela.

Przysuskierówna kl. III. G. P. J. S.

RUSAŁKI LEŚNE.

Ach te rusałki leśne
Takie to są egoistki
Z ust ich lecą przechwałki
Jak jesienią z drzew listki.

Mają długie włosy
Zawsze rozpuszczone,
Mają piękne suknie
Z mgły mlecznej zrobione.

Wabią one dzieci
W duże dziwne sieci.
Chcą by im służyły
I pałace myły.

Na tem kończy się wiersz cały
A jest ani duży, ani mały.

Zula Templówna, II B.
G. P. J. S.



WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.



Od Redakcji. Następny numer „Świata Szkolnego" ukaże się dn. 5-go marca. Wszelkie prace należy nadsyłać na ręce swych delegatów do „Świata Szkolnego" najpóźniej do dnia 25 b. m.

Zebranie kierowników działów odbędzie się dnia 27 o godz. 17,30. Na powyższe zebranie delegatki i delegaci winni doręczyć prace Koleżanek i Kolegów ze swych szkół. W poniedziałek t. j. dn. 20 o godz. 17,30 odbędzie się zebranie Komitetu Redakcyjnego.

Z gimn. St. „Nauka i Praca" W dniu 15/I.-33. przy gimn. „Nauka i Praca" założona została na miejscu dotychczasowej Samopomocy Szkolnej, pozostającej pod opieką p. kuratorki K. Bałtrunówny a pod zarządem koleżanek: E. Birnbaumówny, R. Jędrzejewskiej, W. Kurpińskiej, H. Szostakiewiczówny Spółdzielnia Szkolna.

W związku z tem dn. 20/I. 33. odbyło się walne zebranie przedstawicielek poszczególnych klas.

Po odczytaniu sprawozdania z działalności Samopomocy za 1-sze półrocze i wyjaśnienie czem jest Spółdzielnia, przystąpiono do wyborów zarządu tejże Spółdzielni i jednogłośnie wybrano dotychczasowy zarząd Samopomocy.

Z życia Tow. Bratnia Pomoc przy szkole Rzem. Przemysłowej. W dniu 24/XI 31 r. na walnem zebraniu Tow. Bratniej Pomocy przy szkole Rzem. Przem. dokonany został wybór zarządu w skład którego weszli koledzy: prezes Rybkowski kurs III. v. prezes Klimaszewski kurs II. sekretarz Glice kurs I. Członkowie komisjisji rewizyjnej: Zyzik kurs III. Halbtuch kurs III. Wójcik kurs III. Przedstawiciele do „Swiata Szkojnego": Halbtuch kurs III. Rybkowski kurs III. Mika kurs III.

Z działalności Koła Sportowego przy szkole Rzem. Przemysłowej. Dnia 27/XI 1932 r., odbyło się pierwsze walne zebranie członków Koła Sportowego. Na zebraniu został wybrany zarząd w skład którego weszli: Prezes kol. Halbtuch Juljan kurs III. viceprezeš kol. Sliwiński Zdzisław kurs III. sekretarz kol. Wójcik Mieczysław kurs III. skarbnik kol. Zegadło Stanisław kurs III. Pozatem zebranie powołało następujące sekscje: I. Siatkówka, koszykówka i lekkoatletyka. II. Ping pong III. Sporty zimowe, IV. Imprez i towarzyska. Na zebraniu ustalono, iż każdy członek Koła Sportowego opłaca skłedkę miesięczną w kwocie 10 gr. na ręce skarbnika. O godzinie 12.45 po wyczerpaniu porządku dziennego, walne zebranie zostało zakończone.

Z koncertu na cele P. W. K. Dnia 11/XII ub. roku odbył się w sali Kameralnej koncert urządzony na cele P.W.K. Udział w koncercie wzięły uczenice G. P. J. S., oraz uczniowie S. P. H. S., oraz uczniowie i uczenice ze szkoły p. Folfasińskiej. Program koncertu był dość urozmaicony. Złożyły się na niego tańce, in-

scenizacje piosenek i pantominy. Pierwszym numerem był krakowiak wykonany przez uczenice S. P. J. S. i uczniów I-go gimnazjum. Numer wypadł dobrze, raziło tylko nieco to, że koledzy nie mieli strojów ludowych. Inscenizacje: „My biedne wróbelki” i „sobótki” były już wykonane raz na koncercie na cele „Tow. Opieki nad zwierzętami”. Pierwsza inscenizacja wypadła lepiej, wyróżniły się zwłaszcza koleżanki, grające rolę kotków. Pięknym numerem programu była pantomina, wykonana przez uczniów i uczenice p. Folfasińskiej. Pantomina była doskonale wyreżyserowana, gra wykonawców bardzo miła, a stroje nadzwyczaj gustowne i piękne.

Najlepszym numerem koncertu był taniec kol. Danusi Świdrówny. Zatańczyła ona z niezrównanym wdziękiem walca, budząc szczery podziw widzów. H. O.

Z akademji ku czci ś p. prezydenta Narutowicza. Dnia 17/XII ubiegłego roku odbyła się w sali I gimn. akademja żałobna ku czci pierwszego prezydenta Polski Gabrjela Narutowicza, urządzona staraniem „Kół Pracy dla Państwa” im. Marsz. Józefa Piłsudskiego.

Akademję rozpoczął Hymn narodowy, odegrany przez orkiestrę gimn. im. H. Sienkiewicza. Poczem p. prof. Słowikowski zagaił akademję, a kol. Jędrychowski w przemówieniu w przemówieniu przedstawił życie i działalność ś. p. Prezydenta Narutowicza.

Następnym numerem programu było odczytanie artykułu o Narutowiczu z „Gazety polskiej”. Muzyczna część akademji wypadła bardzo dobrze. Kol. Organowski wykonał na skrzypcach przy akompanjamencie p. S. Brzezińskiej dwa utwory: „Meditation” z opery „Thais” Masseneta, oraz „Ave Maria”—Schuberta. Kol. Organowski grał jak zwykle z dużem uczuciem i zyskał uznanie publiczności. Dobrym numerem programu był śpiew kol. Z. Wójcikówny, która wykonała przy akompanjamencie Kol. Fiszlówny „Pieśń harfiarki” z „Wyzwolenia“. Na wyróżnienie zasługuje również kol. Szydówna, która z towarzyszeniem fortepianu zadeklamowała piękny i nastrojowy wiersz Wyspiańskiego p. t. „Pogrzeb Kazimierza Wielkiego“.

Na zakończenie akademji doskonała orkigstra II-go gimn. wykonała pod batutą p. prof. Wopaleńskiego arję Nadira z „Poławiaczy pereł“ Bizeta i fantazję z opery „Verbum nobile“ Moniuszki“. Nastrój akademji był bardzo poważny i uroczysty. H. O.

Z wieczorku w I Gimnazjum. W sali I gimn. odbył się 27 grudnia ub. r. tradycyjny wieczorek taneczny, urządzony staraniem samopomocy przy G.P.H.S.

Wodzirejami byli kol. J. Wilkoszewski i kol. T. Woźniakowski. Wieczorek zgromadził liczne rzesze młodzieży szkolnej oraz byłych maturzystek i maturzystów. Wszyscy bawili się doskonale i tańczyli ochoczo w takt najnowszych i najmodniejszych piosenek. Miłą atrakcją był kotyljon, prowadzony przez kol. kol. Wodzirejów. Wieczorek miał trwać do dwunastej, jednakże na skutek próśb ze strony rozbawionej młodzieży został przedłużony. P. prof. Mąkosza gorąco proszony przez młodzież zasiadł do fortepianu i zagrał na zakończenie wiązankę różnych tańców.

H. O.

Z wieczorku w II-iem gimnazjum. Dnia 14 stycznia r. b. odbył się w sali przy ulicy Staszyca wieczorek taneczny urządzony staraniem samopomocy drugiego gimn.

Nastrój wieczorku był nadzwyczaj miły. Chociaż nie było oficjalnego wodzireja, którymby prowadził tańce, to jednak młodzież bawiła się bardzo wesoło i tańczyła ochoczo.

Jest to w znacznej mierze także zasługą dobrego zespołu orkiestrowego, który z werwą wykonywał najnowsze i najładniejsze przeboje sezonu.

Obie sale udekorowane były bardzo gustownie. Na uwagę zasługują zwłaszcza doskonałe karykatury artystów filmowych i „podobizny” bohaterki grotesek rysunkowych, myszki Miki.

Miłą niespodzianką było dla uczestników zabawy dokonanie zdjęcia, które przyczyni się do utrwalenia wspomnień o tych tak wesoło spędzonych chwilach. H.—O.

ROZMAITOŚCI.

(—) **Ruch statków w porcie gdyńskim w roku 1932.** Według ostatnich obliczeń Głównego Urzędu Statystycznego, w ciągu roku 1932 zawinęło do portu gdyńskiego 3.610 statków ogólnej pojemności 2.831.600 tonn. W porównaniu z rokiem 1931, przybyło do Gdyni o 576 statków więcej.

Wśród statków, które zawinęły do portu gdyńskiego najliczniej reprezentowana była bandera szwedzka — 1.147 statków, następnie niemiecka — 632 statków, dalej duńska — 484, polska — 447, norweska — 248, estońska — 132, finlandzka — 100, gdańska — 97, łotewska 83, holenderska — 67, angielska — 57, Stanów Zjednoczonych A. P. — 40, grecka — 21, francuska — 12, oraz litewska — 12 statków.



Nowy polski statek „Batory", oddany straży granicznej do strzeżenia brzegów morsk ch.

(X) **Fort amerykański budowany przez Kościuszkę.** Według wiadomości prasy amerykańskiej, ks. Delanis, amerykański archeolog i przyrodnik, rozpoczął naukowe badania nad fortem Miffilin, położonym w widłach rzek Delaware i Schuvikili w Stanach Zjednoczonych, celem ustalenia, kto jest twórcą planów fortu i ich wykonawcą.

Sprawa ta jest wśród historyków amerykańskich kwestją sporną, a ślady w kronikach amerykańskich wskazują, że fort ten zbudował Kościuszko wkrótce po przybyciu do Ameryki i że był to egzamin młodego a już sławnego inżyniera wojskowego. Egzamin ten wypadł znakomicie i stał się podstawą zaufania, jakiem darzył Jerzy Waszyngton naszego bohatera. Kościuszko zbudował też fortyfikacje West Pointu, na drzeką York, gdzie obecnie znajduje się amerykańska szkoła wojskowa.

(X) **Ku czci patrona prasy katolickiej.** W niedzielę, dn. 29 stycznia, jako w uroczystość św. Franciszka Salezego, patrona prasy katolickiej, w kościele parafjalnym Watykanu arcybiskup Pietro Pisani odprawił uroczystą mszę św., w obecności personelu „Osservatore Romano" i

„Illustrazione Vaticana", redaktorow gazet rzymskich oraz zagranicznych korespondentów pism z Watykanu.

Jednocześnie w bazylice salezjańskiej N. Serca Jezusowego mszę św. dla dziennikarzy włoskich odprawił biskup Veroli, Francesco de Fillipis.

(×) **Krawaty ze skóry jaszczurki.** Malarza paryskiego Maillarda tak zachwyciła skórka jaszczurki, z której sporządzona była torebka jego żony, że pociął bez namysłu tę torbę i zrobił sobie ze skóry gada krawat.

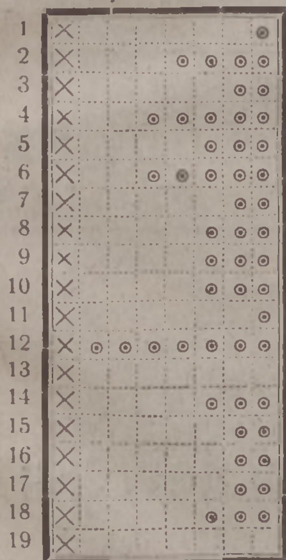
Pomysł ten Maillarda wywołał taką sensację w świecie artystycznym Paryża, że zaczęto już wyrabiać nad Sekwaną krawaty męskie ze skóry jaszczurczej, choć twórcą nowej mody nie jest tym razem arbiter mody męskiej na świecie, książę Walji.

DZIAŁ ROZRYWKOWY.

LOGOGRYF

Z. Gou. Gimn. Zw.

5 punktów.



W podaną figurę wpisać 18 marek samochodowych. Litery w miejsce krzyżyków dadzą aktualne rozwiązanie.

Uł. „HEJ-HA, P.P.P." — G. P. T.

BILETY WIZYTOWE.

1 punkt.

L. RAZEK	F. ROPORES
BROTINOK	ST. SZINOLO

KWADRAT MATEMATYCZNY.

2 punkty.

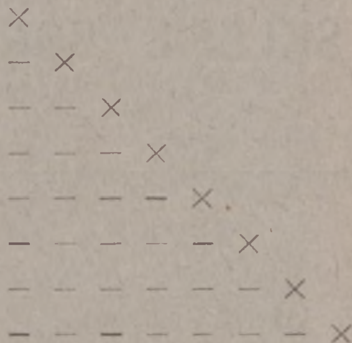
$\frac{1}{3}$	$\frac{2}{3}$	1	$1\frac{1}{3}$
$1\frac{2}{3}$	2	$2\frac{1}{3}$	$2\frac{2}{3}$
3	$3\frac{1}{3}$	$3\frac{2}{3}$	4
$4\frac{1}{3}$	$4\frac{2}{3}$	5	$5\frac{1}{3}$

Liczby niżej podane, należy poprzestawiać tak, aby każdy rząd, pionowy czy poziomy, czy też ukośny na krzyż, dał sumę $11\frac{1}{3}$.

TRÓJKĄT MAGICZNY.

2 punkty.

W miejsce kropek i krzyżyków wstawić poziomo wyrazy o podanem znaczeniu. Litery w miejscu krzyżyków dadzą aktualne rozwiązanie.



Znaczenie wyrazów: 1) spółgłoska, 2) in. posiada, 3) szata żałobna, 4) kurek przy wodzie, 5) utwór Moniuszki, 6) imię męskie, 7) wędrówka dusz w starożytności, 8) in. robił.

KWADRAT MAGICZNY.

2 punkty.

A	A	A	E	E
E	E	K	K	Ł
Ł	O	O	O	O
P	P	R	R	T
T	Y	Z	Z	Z

Litery w kwadracie należy tak poprzestawiać, aby poziomo i pionowo utworzyły 5 wyrazów o następującem znaczeniu:

1) Metal, 2) główka w gwarze, 3) utwór muzyczny, 4) przysłówek, 5) przedmioty przeznaczone na wystawę.

Za zdobycie największej ilości punktów Redakcja przeznacza szereg nagród.

ROZWIĄZANIE.

M O **S** E N
N A B I **E** L A K
D E L A **W** I G N E
B E L W **E** D E R
S A **R** M A T A
K O B **Y** L A Ń S K I
K O **N** S T A N T Y
K O N **G** R E S
K A R **O** L T U R N O
N O C L I **S** T O P A D O W A
O R P I S **Z** E W S K I
S T O **C** Z E K
K O **Z** A K
S K S Z **Y** N E C K I
W A **N** K A
S W I Ę T O **S** Ł A W S K
K R A **K** U S
G R U D Z **I** Ń S K A

Kurator: **Dr. H. Płodowska.** Red. odp. kol. **A. B. Charłoziński.**

Korespondencje nadsyłać pod adresem Redaktora kol. **A. B. Charłozińskiego,** II Gimn. Państw., Aleja Wolności 13.

Zakłady Graficzne F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie, III Aleja 52, tel 2-45.